

Wygrać, przegrać

Marta Czerwińska

Vincenta obudził przeszywający chłód i dziwne wrażenie, że ktoś go obserwował. Rozejrzał się, lecz był w powozie sam. Za oknem majaczył nocny krajobraz oświetlany przymglonym światłem księżyca. Otarł twarz chustką i uderzył dłonią w ścianę powozu dając znać woźnicy by się zatrzymał. Gdy pojazd stanął w miejscu mężczyzna otworzył drzwiczki i wysiadł na udeptany trakt ciągnący się przez rozległą łąkę tuż na skraju lasu. Z lewej strony szumiały wysokie drzewa o splątanych konarach w mroku przypominających szpony. Po prawej aż po horyzont kołysały się bujne trawy. Vincent zaciągnął się świeżym powietrzem i skierował w pobliskie zarośla. Odpiął skórzany pasek i opróżnił pęcherz. Czuł się nieswojo, jakby ktoś ciągle wpatrywał się w jego plecy. Szybko poprawił ubranie i wrócił do powozu. Gdy ruszyli poczuł się trochę lepiej. Oparł głowę na aksamitnej poduszce i przymknął oczy. Chciał zasnąć choć na chwilę, bo nie zmrużył oka odkąd opuścił Celsję, a czekała go jeszcze długa podróż, a co ważniejsze musiał dowiedzieć się co czekało go dalej. W tej pracy najgorsza była niepewność. Przestał już odczuwać wyrzuty sumienia, ludzkie życie przestało mieć dla niego wartość, ale ta ciągła niepewność jutra doprowadzała go do szaleństwa. Rozmyślając zaczął powoli pogrążyć się w półśnie gdy usłyszał przeszywający głos jak gdyby podmuch wiatru tuż obok niego:

- *Czekam na ciebie...*

Zerwał się nagle zlany zimnym potem. Wszystko wydawało mu się teraz jeszcze groźniejsze i mroczniejsze niż wcześniej. Zimne powietrze wdarło się w jego nozdrza tłumiąc oddech. Zdał sobie sprawę, że nerwowo rozgląda się po pustym powozie.

Ukrył twarz w dłoniach i wyszeptał:

- *Zaczynam wariować.*

Nie zasnął już. Do wschodu słońca rozmyślał nad ostatnimi wydarzeniami. Powrót jego pana, radość po tym jak udało mu się go odnaleźć i przerażenie po odkryciu jak bardzo się zmienił. Jak obaj się zmienili. Nawet przed samym sobą nie przyznawał się do strachu, jednak to właśnie on przeszywał go teraz całego paraliżując i jednocześnie pchając do działania jako jedyna moc jeszcze do tego zdolna. Gdyby się nie bał przestałby funkcjonować, więc godził się na męki nieprzespanych nocy by nie stać się apatycznym cieniem samego siebie. Tylko praca mu pozostała. Gdy słońce wzeszło dotarli pod ogromny mur wyrastający nagle w środku niczego. Kamienny, pnący się wysoko do nieba odgradzał Dartmoore od nieujarzmionej natury i reszty świata. Okolice dodatkowo zasnuwała ciężka, dusząca mgła. Jej opary unosiły się szarymi kłębami zza muru aby kaskadą opadać na łąkę zasnuwając ją stęchłą kurzawą. Brama wjazdowa była zamknięta. Odkąd Samael wypowiedział wojnę Celsji stolica Okeanii pozostawała całkowicie odgradzona od wszelkich rzeczy pochodzących z zachodu, to też od tamtejszych podróży.

Vincent zaczął się irytować. Wysiadł z powozu i trzasnąwszy drzwiczkami podszedł do bramy. Spojrzał w górę i zaklął. Wiedzano o jego przyjeździe, więc miał nadzieję,

że zostanie wpuszczony od razu. Nie miał siły ani ochoty by czekać, zwłaszcza w oparach duszącej mgły.

- Wiedzą, że ma pan przyjechać? - zawołał do niego woźnica.

- Tak - warknął lord - Wiedzą.

Mijały minuty, jednak nic się nie działo. Kopnął leżący na drodze kamień i skrzywił się wciągnawszy w płuca zbyt dużą ilość dymu. Wrócił do powozu i opadł na miękkie siedzisko. Denerwowała go cała ta sytuacja. Nie był pierwszym lepszym pościeńcem, żeby kazać mu czekać. Poza tym chciał jak najszybciej znaleźć się już na zamku, porozmawiać z Samaelem, zjeść coś i wziąć kąpiel. Potem znów czekała go praca. Z rozmyślań wyrwał go metaliczny szczeł kół zębatych. Przywodziło to na myśl zgrzyt mechanizmu nakręcanego zegara, tyle że spotęgowany stukrotnie i dużo mniej przyjemny. Wyjrzał przez okno. Potężna brama stopniowo rozwierała się tłocząc na zewnątrz jeszcze więcej szarego dymu. Usłyszał stłumiony kaszel woźnicy i jego ochryple rozkaz "wio" gdy nagle ktoś zagroził im drogę. Vincent wyskoczył z powozu i ujrzał dwóch ogromnych, uzbrojonych w lance mężczyzn. Poruszali się bardzo sztywno i wyglądali identycznie jakby byli bliźniakami.

- Podaj dokument uprawniający cię do wjazdu. - rozległ się ostry, metaliczny głos jednego ze strażników.

Vincent wręczył mierzącemu trzy metry mężczyźnie papier opatrzony pieczęcią Samaela. Czarny lak z wyciśniętą w nim sylwetką węża połyskiwał w świetle słońca. Strażnik wyciągnął dłoń, na środku której znajdował się podłużny otwór. Oniemiały Vincent w porę zorientował się o co chodziło i włożył dokument w szczelinę. Rozległ się kolejny zgrzyt jakiegoś mechanizmu i ten sam syntetyczny głos co wcześniej:

- Dokument przyjęty.

Istoty znów bardzo sztywno i nienaturalnie przemieściły się, ty razem by przepuścić powóz, a Vincent zajął swoje miejsce wewnątrz. Po chwili jechali już główna ulicą Dartmoore w kierunku oddalonego od zabudowań zamku. Miasto zasnuwały brunatno szare opary dymu unoszące się z ceglanych kominów ogromnych fabryk. Krajobraz nie zmienił się znacznie odkąd mężczyzna dwa miesiące temu opuścił dom, jednak z przykrością musiał dostrzec, że dymu było coraz więcej i powoli utrudniał on życie mieszkańcom. Mimo, że przywykł już do snujących się wszędzie żebraków i bezdomnych, przed oczami miał obraz stolicy sprzed pierwszej wojny. Ruiny kamienic kuły w oczy pozostałościami ornamentów przypominających o ich dawnej świetności. Zabite deskami okna płakały czarnymi jak smoła zaciekami stanowiącymi skutek nadmiernej ekspansji fabryk. Gdzie nie spojrzął widział duchy przeszłości, miejsca do których kiedyś chciał wracać, a które teraz napawały go jedynie obrzydzeniem. Gdy wyjechali z dzielnicy przemysłowej ich oczom ukazał się nowy widok. Szereg zadbanych willi ustawionych jedna obok drugiej na idealnie równych zielonych trawnikach. Sprawiało to wrażenie klockowych domków ustawionych w

geometrycznym porządku przez jakieś pozbawione wyobraźni dziecko. Wszystko równe, identyczne, bezduszne. Tu opary były już mniej przykre. Mimo, że mur wokół Dartmoore nie dopuszczał podmuchów wiatru, by rozpraszać dym, kamienice dzielnic przemysłowej skutecznie zatrzymywały mgłę, by jak najmniej brudu przedostawało się do tego azylu konformistycznego przepychu. W znacznej odległości od smoków fabryk i domków z klocków wnosił się ogromny zamek o strzelistych wieżach i kamiennych murach. Otaczała go dodatkowo fosa i niewielki w porównaniu z otaczającym miasto, mur. Most zwodzony był opuszczony, co znaczyło, że Samael wiedział już o jego przybyciu. Vincent odetchnął z ulgą. Nie chciał znów spotkać mechanicznych strażników. Bez przeszkód przekroczyli bramę i znaleźli się na pięknym dziedzińcu. Malownicze kruszganke zbiegały się na wschodniej ścianie by utworzyć kaskadę schodów sypiących się miękko na gładką posadzkę. Ich balustrady rzeźbione były w fantazyjne wzory, oplecione cienkimi żyłkami szlachetnych kamieni i złota. Kostka pełniąca rolę dziedzińcowego dywanu nie ustępowała im na krok. Marmurowe płytki ułożone w faliste wzory nie dość, że idealnie komponowały się z florystycznymi motywami kruszganek to jeszcze widocznie je dopełniały pozostawiając patrzącego w uczuciu pełni, jednak nie przesytu. W Vincencie zawsze wywoływało to odczucie spokoju i harmonii. Nawet nie zauważył gdy na dziedzińcu pojawili się odziani w szmaragdowe mundury żołnierze, a z głównych drzwi wyszedł wysoki mężczyzna.

- Witaj przyjacielu. - Książę Samael schodził po marmurowych schodach szeleszcząc lekkim, aksamitnym płaszczem. Długi, srebrno czarny materiał tkany w tradycyjne okeanijskie wzory połyskiwał opalizująco w świetle wpadającego do wnętrza słońca. Mężczyzna sprawiał wrażenie bardzo młodego, choć w jego błękitnych oczach było coś przytłaczającego, zmuszającego rozmówcę do odwrócenia wzroku. Bił od niego królewski, niekwestionowany majestat. W jego pofalowane, sięgające ramion włosy w kolorze nocy wpleciono cienkie nitki złota owijające się wokół kosmyków niczym malutkie węże. Mężczyzna miał jasną, jakby ceramiczną cerę dopełnioną dodatkowo delikatnymi rysami. Mógłby śmiało pozować do obrazu anioła. Stał na ostatnim stopniu jak gdyby z lekkim wahaniem i oparł lewą dłoń o długich palcach na alabastrowej poręczy.

- Zmęczyłeś się podróżą? - Nie dał mu odpowiedzi - Mam nadzieję, że nie, gdyż czeka cię mnóstwo pracy.

- Pamiętam o niej, wasza wysokość - Vincent skłonił się i podszedł by ucałować jego dłoń.

- Nie rób teatru - warknął tamten odwracając się na pięcie.

Vincent ruszył za nim w górę schodów. Był jednocześnie zdenerwowany i podekscytowany.

- A tak przy okazji... - Samael przystanął na moment - Twój woźnica jest z Celsji czy

stąd?

- Z Celsji. - Vincent zadrzał gdy zdał sobie sprawę z tego jakie konsekwencje niosły za sobą jego słowa,

Usłyszał tylko beznamiętny rozkaz księcia "Zabić", a po nim serię strzałów. Nie odwrócił się, nawet nie mrugnął. Tylko dzięki brakowi skrpułów jeszcze żył. To była cecha warta pielęgnacji w przeciwieństwie do wszystkich innych. Przeszli długim, przestronnym korytarzem do części gościnnej pałacu.

- Mam dla ciebie dobre wieści - Samael stanął przed drzwiami prowadzącymi do jednej z licznych zamkowych bawialni. Pomieszczenie otworzył jeden ze strażników podążających za nimi krok w krok i mężczyźni weszli do obszernego pomieszczenia.

- Jakie to wieści, panie? - Vincent poczekał aż Samael zajmie miejsce na sofie i dopiero sam usiadł w wygodnym, eleganckim fotelu.

Księżę gestem kazał strażnikom wyjść i po chwili zostali sami.

- Jesteś głodny? - Samael zignorował jego wcześniejsze pytanie.

- Tak, jeśli nie byłby to kłopot...

- Skończ z teatrem, jesteśmy sami. - syknął księżę - Znamy się zbyt długo żebyś musiał zwracać się do mnie w ten idiotyczny sposób, przyprawiasz mnie o mdłości.

- Wybacz. Przywykłem do całej tej etykiety w Celsji.

- Więc odwyknij. - Samael pociągnął za przytroczony do ściany szur i gdzieś z komnaty obok dobiegł ich delikatny dźwięk dzwonka.

Do pokoju wkroczyła ubrana w wykrochmaloną czarną sukienkę i biały fartuszek służąca. Wyglądała na bardzo młodą i przestraszoną.

- Przynieś naszemu gościowi coś do jedzenia, dobrze? - mimo, że raczej poprosił niż nakazał dziewczyna zadrzała. Jej strach był aż nadto widoczny - I dwa kieliszki wina, nie najlepiej całą butelkę.

Skloniła się i szybkim krokiem opuściła komnatę.

- Nie rozumiem, czemu aż tak się mnie boją. Nigdy nie zrobiłem służbie nic złego - zamyślił się, a na jego wargach zatańczył sadystyczny uśmiech - może powinienem to zmienić.

- Wracając do twoich dobrych wieści...

- Ach tak - Samael wyprostował się i obdarzył Vincenta podekscytowanym spojrzeniem - Pamiętasz o czym rozmawialiśmy zanim wyruszyłeś na przeszpiegi do naszego kochanego króla Dylana i jego pełnej cnót Rady?

- Tak, ale byłeś raczej tajemniczy - odparł tamten.

- Zaraz wszystko ci wytłumaczę.

Do środka weszła ta sama służąca co wcześniej niosąc tacę z pieczonym dzikiem, a za nią inna z butelką czerwonego wina i dwoma kieliszkami. Ta druga wydawała się śmielsza i nawet uśmiechnęła się uwodzicielsko do Vincenta.

- Dziękuję Tamaro - Samael spokojnie patrzył jak dziewczyna nalewała wytrawny

napój do kryształowych kieliszków - Dziś Komnata Zielona.

- Oczywiście panie. - uśmiechnęła się nieskromnie.

- Weź ze sobą koleżankę - spojrzał na przerażoną dziewczynę, która przyniosła pieczeń. Ta skamieniała ze strachu i mało nie zemdląła. Gdy wyszły Vincent spojrzał na księcia krytycznie.

- Jeszcze to robisz? - skrzywił się - W Castalionie to nie do pomyślenia żeby król...

- One nie przyjdą do mnie- odparł Samael upijając łyk wina.

- Nie ważne. - Vincent przyglądał się pieczeni z nieskrywanym pożądaniem.

- Nie krępuj się, jedz, a ja nareszcie przekażę ci ważne informacje.

Vincent zabrał się za apetycznego dzika, a Samael usiadł wygodniej na sofie:

- Razem z twoją przyjaciółką, Iris i jej kuzynem Argonem poświęciliśmy te dwa miesiące na poszukiwania cennego artefaktu. Domyślasz się może czego ja, Kapłanka Nocy i wyznawca Najwyższej mogliśmy szukać?

Vincent przez chwilę zastanawiał się co Samael mógł mieć na myśli aż nagle wszystko do niego dotarło.

- Nie... - wyszeptał z niedowierzaniem - Znalazłeś Ravenę?

- We własnej osobie, a raczej szkatułce. - odparł książę. - Tak czy siak, nie możemy jej tak po prostu wypuścić, potrzebny nam rytuał i krew prawowitego dziedzica tronu Okeanii.

- Jeśli chodzi o rytuał mogę wszystko poprowadzić...

- Argon i Iris mają wszystko pod kontrolą. - Samael zgasił jego entuzjazm - Ty przydasz mi się do czegoś innego. Po pierwsze zajmiesz się żołnierzami. Pozycje, zadania, takie tam.

- Domyślam się, że zaproszeń nie będę musiał sprawdzać, gdyż mamy od tego mechanicznych ludzi?

- Spotkałeś moich żołnierzy - ożywił się książę - To mój najnowszy projekt, mam nadzieję, że przypadli ci do gustu.

- Są rozkoszni - zadrwił Vincent - Mają tylko trzy metry wzrostu i śrubki zamiast serca, jak można ich nie kochać?

- Przekonasz się do nich.

- A moje drugie zadanie?

Samael spojrzał na niego poważnie:

- Podczas rytuału zabijesz naszą ofiarę. Przelejesz krew następcy Okeanijskiego tronu, prawnuka Melhiora, którego Ravena pozbawiła korony.

- Dobrze - sam siebie zadziwił kompletnym brakiem emocji - Szybko i bezboleśnie czy na pokaz?

- Zostawiam to do twojej dyspozycji. - odparł książę - Ale jest jeden problem.

- Jaki? - Vincent wciąż ze smakiem zajadał pieczeń.

- To dziecko.

Zapadła chwila ciszy. Vincent upił łyk wina i podniósł pełen wyrzutu wzrok na swojego pana:

- To nie ma dla mnie znaczenia, powinieneś w reszcie przestać posądzać mnie o posiadanie sumienia.

Samael uśmiechnął się do niego życzliwie:

- Gdybyś naprawdę go nie miał, nie bulwersowałbyś się tak gdy cię o nie posądzam. - zawiesił na chwilę głos - Nie ważne. Opowiedz co działo się w Celsji.

- Dylan postanowił dołożyć wszelkich starań by zdobyć Miecz Nieumarłych przed nami - odparł Vincent kończąc posiłek i odkładając talerz na drewniany, bogato zdobiony stół - Podejrzewają, że znajduje się w Thillarionie, dlatego Wybraniec razem ze soją drużyną wybierają się na nasz teren, to znaczy w góry.

- Czyli mój plan działa.

- Jaki plan? - nie zrozumiał mężczyzna.

- Przekonasz się. - uciął tamten - Co jeszcze? Powiedz coś więcej o Wybrańcu.

- Nie rozumiem czemu aż tak interesuje cię ta dziewczyna.

Samael zmarszczył brwi:

- Jest w niej coś niepokojącego. Wiem, że jeszcze nie do końca opanowała swoje moce, ale nie możemy jej lekceważyć.

- Jak można poważnie traktować dziewczynkę w trakcie szkolenia?

- Jeszcze wspomnisz moje słowa.

- Obyś nie miał racji. - skwitował Vincent - Karin, owszem jest zdolna, ale z tobą nie dałaby sobie rady, a co dopiero z Raveną.

Samael przeczesał smukłymi palcami swoje czarne włosy.

- Nie doceniasz jej. Dawno temu znałem jednego Wybrańca. Równie niepozorną dziewczynkę, która pokrzyżowała mi plany i pozbawiła mocy.

Vincent spoważniał i spojrzał swojemu panu w błękitne oczy:

- Wybacz, jeśli powiem teraz coś czego nie powinienem mówić, ale nie sądzisz, że na twojej przegranej zaważyła miłość do tej dziewczyny? Kochałeś ją, nie potrafiłeś jej skrzywdzić...

- A jednak ją zabiłem. - dokończył za niego i jakby posmutniał - Możesz mieć rację, ale to nie zmienia faktu, że każdy Wybraniec to potencjalne niebezpieczeństwo, które należy zlikwidować.

- Tu się zgodzę. Szczególnie ze słowem "potencjalne".

Dyskutowali jeszcze chwilę nad sensem przejmowania się Karin Campevill - nieustraszoną Celską Wybrańcą, po czym Samael pozwolił zmęczonemu całodniową podróżą Vincentowi udać się na spoczynek. Towarzyszył nawet jemu i pilnującemu go strażnikowi aż do drewnianych drzwi jego komnaty. Wnętrze utrzymane było w odcieniach zieleni i brązu. Na ścianach powieszono ręcznie tkane gobeliny, a na wprost znajdowało się spore okno. Po lewej stronie ustawiono wielkie

łóże wyposażone w rzeźbione kolumny i szmaragdowy baldachim. W pewnej odległości od niego znajdowała się inkrustowana szafa, mebel zapewne sprowadzony dawno z Sillarionu, oraz stolik herbaciany i dwa krzesła do kompletu. Na schowanej w cieniu drzwi komodzie stał niewielki zegarek, który uspokajająco tykał odliczając kolejne sekundy. Panowała tu spokojna atmosfera potęgowana przyjemnym zapachem jaśminu.

- Witam w Zielonej Komnacie. - uśmiechnął się Samael.

- W Zielonej... Czekaj! - do środka weszła Tamara i druga służąca, którą widział wcześniej. O ile ciemnowłosa Okeanijka nie czuła się skrępowana, o tyle druga dziewczyna drżała ze strachu.

- Samaelu, przesadziłeś. - zdenerwował się Vincent - Ona jest przerażona i...

- Mówiłeś, że nie masz sumienia, prawda?

- Ale... - próbował wymyśleć coś na szybko. W gruncie rzeczy nie wiedział czemu miałby odmówić jednak coś nie pozwalało mu otwarcie przyznać się do całkowitej obojętności wobec dziewczyn.

- Udowodnij, że faktycznie brak ci skrupułów.

Drzwi zamknęły się za księciem, a Vincent został sam z pokojówkami. Nie był pewny, czy rzeczywiście tego chciał, ale nie widział też żadnych przeciwwskazań.

Zdecydował.

Rankiem obudziły go ciepłe promienie słońca. Obok na aksamitnej poduszce leżała naga Tamara, jednak drugiej dziewczyny nigdzie nie było. Prawda była taka, że nie pamiętał niczego z tej nocy. Szumiało mu w głowie, a wypił z kobietami tylko kieliszek szampana. Nagle wszystko zrozumiał. Dosypały mu narkotyków. Lord wstał i odsłonił okno. Tamara syknęła:

- Zasłoń, nie znoszę światła.

- A co jesteś wampirem? - zadrwił wyglądając na zewnątrz.

- Blisko - odparła - jestem echidną. Nie tylko wampiry nie lubią słońca, zasłoń to.

Vincent spełnił prośbę i poszedł się ubrać.

- Co to jest *echidna*? - spytał naciągając na siebie białą koszulę.

- Pół człowiek, pół wąż. - odparła na dowód wystawiając nienaturalnie długi język - Nie zauważyłeś?

Vincent uśmiechnął się lekko. Zauważył, oczywiście, że zauważył ale nigdy w życiu nie słyszał do tej pory o echidnach.

- Nie macie, nie wiem, ogonów? - dopytywał czesząc długie, jasne włosy.

Jednocześnie zastawiał się po co Samael kazał go naćpać.

- Jestem echidną ćwierć krwi - odparła wstając. - Tylko pełnokrwisici mają ogony, łuski i takie tam. Wywodzimy się z gorgon, tylko mamy normalne włosy zamiast węży.

- Jak widać człowiek uczy się całe życie. - mruknął.

Tamara ubrała się w szmaragdową suknię bezsprzecznie nie mogącą należeć do pokojówki i uczesała bujne, kręcone włosy. Ogarnęła pokój, tak, żeby wyglądał choć trochę czystiej i zaczęła zbierać się do wyjścia.

- Od dawna tu pracujesz? Nie widziałem cię wcześniej.

- Od tygodnia. Wcześniej robiłam w wywiadzie. - odparła.

- To wiele tłumaczy - stwierdził wychodząc za nią - Wszystko zrobiłaś po to, żeby sprawdzić czy Celsja mnie nie zindoktrynowała, tak? Dosypałyście mi czegoś do szampana!

- Przesadzasz - uśmiechnęła się porozumiewawczo na potwierdzenie jego przypuszczeń. - Moja koleżanka nie miała z tym nic wspólnego.

Zrezygowany i przerażony tym co zaplanował Samael dał się poprowadzić dziewczynie. Szli wysokim, korytarzem w kierunku jadalni. Mijali służbę, strażników i sztywnie ubrane damy dworu. Wszystko wydawało się niezwykle spójne i piękne jednak Vincent miał w sobie jakieś dziwne uczucie niepokoju. Gdy stanęli w obszernej sali jadalnej, spostrzegli, że kłębiło się tam mnóstwo ludzi. Większość stanowiła służba, część strażnicy jedzący śniadanie przy długich, prostych stołach. Tamara wzięła go za rękę i pociągnęła w kierunku niepozornych drzwiczek na lewej ścianie. Otworzyła je i zaprosiła lorda do środka. Komnata była cicha i mniejsza niż jadalnia ogólna. Na środku ustawiono rzeźbiony stół i osiem wygodnych, ciężkich krzesel. Na szczytce zajmował miejsce Samael. Wyglądał jak zwykle nienagannie i elegancko jednak dało się po nim poznać zmęczenie. Po jego prawej stronie siedział wyższy od księcia mężczyzna. Miał rude włosy i krótką, starannie wymodelowaną brodę. Jego wychudzoną twarz pokrywały liczne blizny, a zielone oczy pały jakąś niewysłowioną rządzą mordy. To był dowódca Konnych - Argon. Obok niego zajmowała miejsce Iris. Vincent uśmiechnął się gdy spostrzegł przyjaciółkę, zdążył się za nią stęsknić. Jej miękkie, kasztanowe włosy i delikatne elfickie rysy działały na niego kojąco. Po lewej stronie znajdowały się jeszcze dwa nakrycia. Tamara usiadła na miejscu bardziej oddalonym od Samaela, a Vincent zajął miejsce obok niego.

- Wypałeś się? - mruknął książę opróżniając nie pierwszy tego dnia kieliszek wina.

- Tak, dziękuję. - lord spuścił wzrok i podsunął sobie talerz z chlebem.

- Jaki powściągliwy - syknął chudzielec o aparycji szaleńca.

- Dlaczego to zrobiłeś? - Vincent zwrócił się do Samaela nie zwracając uwagi na Argona. - Nie ufasz mi?

- Środki ostrożności, a poza tym chciałem zrobić ci prezent. Nie podobało ci się?

- Może by mi się podobało gdybym coś pamiętał - syknął lord na co Tamara zachichotała grubiańsko.

- Nie przesadzaj. - Samael uśmiechnął się lekko.

- Pewnie jest taki zły bo wyszło na jaw, że jest kundlem Dylana. - Argon lustrował go wzrokiem.

- Zapewniam, że nie. - Tamara nalala sobie szklankę rumu. - Myślisz, że nie jestem dobra w tym co robię?

- Myślę, że jesteś puszczałską szmatą, a on zdradzieckim szczurem...

- Argonie - syknął ostrzegawczo Samael - zapominasz się.

Nie odpowiedział. Tymczasem książkę wypił kolejną lampkę wina i rzekł:

- Mamy do omówienia coś bardzo ważnego, a mianowicie rytuał. - wszyscy wymienili porozumiewawcze spojrzenia - Ceremonia odbędzie się na Nocnym Wzgórzu. W ramach bezpieczeństwa magowie utworzą wokół znajdującej się tam kaplicy pole siłowe. Nikt nas nie zobaczy, a tym bardziej nam nie przeszkodzi.

- Kto weźmie w tym udział? - spytała Iris swoim melodyjnym głosem.

- Kapłani, czarownice, ja i wy. Oprócz tego żołnierze do obstawienia terenu, ludzie od transportu i magowie, o których już mówiłem.

- A dowódcy? - spytał Argon - nie powinni przy tym być?

- Ravena spotka się z nimi później. Nie chcę stracić najlepszych ludzi jeśli coś pójdzie nie tak i zaraz po odrodzeniu postanowi wszystkich zabić.

- Czyli nas możesz poświęcić? - syknęła Tamara.

- Muszą być jakieś ofiary. - odparł Samael obojętnie.

Vincent spostrzegł, że Argon coraz bardziej się irytował. Jego dłonie zacisnęły się w pięści, a oddech stawał się ciężki i głośny.

- Mam dla was zadania. - kontynuował książkę nie zwracając uwagi na reakcję Argona

- Vincent, rozstawisz strażników i zaplanujesz ich pracę, a w czasie rytuału zabijesz naszą ofiarę.

- Tak jest.

- Tamara, zajmiesz się magami. Nie weźmiesz bezpośrednio udziału w ceremonii, ale będziesz na bieżąco mnie informowała o stanie bariery.

- To nawet lepiej - mruknęła - Nie lubię takich mrocznych imprez.

- Iris, ty przygotujesz rytuał. Jako kapłanka masz największe doświadczenie, więc wierzę, że mogę powierzyć ci to zadanie.

- Oczywiście, panie - skłoniła się lekko.

- Argonie, będziesz pilnował porządku w kaplicy. Nie chcę niepotrzebnych świadków w postaci strażników, więc muszę mieć w tym tłumie kapłanów i czarownic kogoś mądrego.

- Nie chcę takiej roboty - zachnął się mężczyzna - Niech się ten szczur - spojrzał na Vincenta - takim czymś się zajmuje, ja chcę zabić ofiarę.

- Będziesz robił co kazałem - odparł Samael obojętnym tonem

- Nie masz prawa mi rozkazywać, nie jestem twoim psem, służę Ravenie! - z łoskotem odsunął krzesło i ruszył w stronę drzwi.

- Owszem jesteś moim psem - rzucił książkę wciąż patrząc w dal z nieodgadnioną miną.

Nagle coś świsnęło w powietrzu i Argon krztusząc się upadł na marmurową posadzkę. Złapał się za szyję próbując rozpaczliwie uwolnić od niewidzialnej ręki zaciskającej się na jego gardle. Bez skutku. Wydawał z siebie tylko stłumione jęki i po chwili ochrypnął zupełnie. Vincent podskoczył na krześle zaskoczony nagłym atakiem. Zobaczył, że Iris nawet nie spojrzała w tamtą stronę, a Tamara podparła głowę na dłoni i z uśmiechem przyglądała się konwulsjom Argona. Samael podszedł do niego powoli i stanąwszy nad nim uśmiechnął się okrutnie:

- Jesteś moim psem. - stwierdził - A moje psy są albo posłuszne, albo martwe, rozumiesz?

Niewidzialna dłoń rozluźniła swój uścisk i Argon zaczerpnął ze świstem powietrza. Nie odpowiedział. W jego oczach nie było już niczego z niedawnej wściekłości, bił od niego strach tak czysty i naturalny, że mężczyzna wydał się w nim żałośnie bezbronny. Samael obdarzył go pogardliwym spojrzeniem.

- Za godzinę widzę was na dole i ruszamy w drogę. To wszystko - rzucił i wyszedł z jadalni bocznym wejściem. Argon nie podnosił się z ziemi, Iris niemrawo grzebała w talerzu, a Tamara piła jedną szklankę rumu za drugą.

- Od kiedy Samael jest taki nerwowy? - spytał Vincent, jednak w odpowiedzi usłyszał tylko parsknięcie Tamary i stłumiony szloch Iris.

- Rozumiem - westchnął i zirytowany brakiem odpowiedzi spytał - Czyli rytuał odbędzie się dzisiaj?

Znów milczenie. Nikt nie miał najwidoczniej ochoty z nim rozmawiać. W końcu zniesmaczony ciszą Vincent również postanowił wyjść. Wszystko się zmieniło i nie potrafił odnaleźć się w tym nowym porządku szalonych ludzi. Postanowił znaleźć Samaela i spróbować z nim porozmawiać. W tamtej chwili wydawało mu się to najlepszym pomysłem. Szczera rozmowa o tym co się z nim działo. Gdy mijał rozwidlenie korytarzy spostrzegł zbiegowisko przy wejściu do jednego z pomieszczeń. Wiedziony ciekawością poszedł w tamtą stronę. Przecisnął się między jakimś opasłym kucharzem i starszą pokojówką do samych drzwi. Wejścia pilnowali dwaj strażnicy w szmaragdowych mundurach. Wewnątrz było bardzo zimno. Przez otwarte na oścież okno do pokoju wpadały lodowate podmuchy wiatru. Kołysały przy tym bezwładnym ciałem młodej dziewczyny. Vincent nie mógł uwierzyć własnym oczom. To była pokojówka, z którą spędził noc, ta sama... Wisielec miał rozchylone wargi, które zdążyły zsinieć, białą niczym papier skórę i poplamione krwią ubranie. Z jej nadgarstków ściekała krew. Otwarte, wychodzące na wierzch oczy, tej nocy jeszcze tak piękne i niewinne stały się zimnymi ślepiami śmierci. Pustym wzrokiem wpatrywała się dokładnie w niego. Vincent poczuł, że zbiera mu się na wymioty. Pognał do łazienki, gdzie opróżnił zawartość żołądka i umył twarz zimną wodą. Nie miał już siły. Zabiła się przez niego. To była jego wina, jego i Samaela. Ale przecież nie mógł nic zrobić, Samael dał mu do zrozumienia... A może mógł... Co właściwie

zrobił? Nie pamiętał niczego, tylko te oczy. Samael go zrobił, zabawił się jego kosztem, ale czy na pewno to była tylko wina księcia? W jego głowie narastały wątpliwości i strach. Zaczął płakać jak dziecko oparty rękami o umywalkę. Wtedy spojrzął w lustro. Jego własna twarz przywodziła mu teraz na myśl wykrzywioną konwulsjami twarz Argona sprzed kilkunastu minut. Był tak samo bezsilny, a miał być kimś lepszym. Zbędne uczucia wprowadzały go w ten stan, robiły z niego żalosego idiotę. Przecież obiecywał sobie, że już nigdy na nikogo nie spojrzy jak na czującą istotę, że przestanie przejmować się innymi. Nie będzie martwił się ich życiem ani śmiercią. Tak chciał z tym skończyć, skończyć ze swoim sumieniem. Zabił tyle osób by udowodnić sobie, że był kimś więcej. Czy jednak, głupia pokojówka miała to zepsuć? Na nowo obudzić w nim człowieka? Zacisnął pięści i już spokojniejszy śmiało spojrzął w lustro.

- To jest moja wina - powiedział beznamiętnie - Ale nic mnie to nie obchodzi.

Godzinę później wsiadał do zaprzęzonego w czarne rumaki powozu i nawet nie pamiętał o tamtej samobójczyni. Wracał do swojej zwykłej równowagi i bardzo się z tego powodu cieszył. Wyjechali z miasta dwoma pojazdami, on zajmował jeden z Samaelem, w drugim podróżowała Iris i Argon. Tamara na oklep pomknęła w inną stronę na wyznaczone spotkanie z magami. Gdy przejeżdżali cuchnącymi dymem i uryną ulicami, Vincent odkrył, że w tym stanie Dartmoore również mu się podobało, a przede wszystkim podobało mu się poczucie władzy nad tym niewielkim skrawkiem piekła. Na obskurnym miejskim placu, przez który przejeżdżali zebrał się niewielki tłumek zaciekawionych gapiów. Żebracy i bezdomni w potarganych łachmanach tęsknie obserwowali szykowne powozy. Ich poorane zmarszczkami twarze wykrzywiały grymas zazdrości czyniąc z nich żaloseny obraz okeanijskiej nędzy i rozpacz. Vincent uśmiechnął się na ich widok. Nie odczuwał współczucia, cieszył się tylko, że nie dzielił ich losu. Gdy opuścili teren Dartmoore powietrze stało się czystsze, a krajobraz nabrał kolorów. Vincent nareszcie nie dręczony żadnymi wyrzutami sumienia mógł bez przeszkód cieszyć się widokami. Droga na Nocne Wzgórze położone u podnóża gór Thillarionu, wiodła przez olbrzymią równicę porośniętą jedynie wysokimi trawami. W południowym słońcu rośliny przybrały najintensywniejszy kolor zieleni jaki Vincent kiedykolwiek widział. Ich giętkie łodygi kołysały się lekko, to znów bez uprzedzenia zginały w głębokim ukłonie. Było ciepło, ale po stepie szalał porywisty wiatr uderzając potężnymi podmuchami w ściany powozu.

- Iris jest na ciebie wściekła. - Samael podjął rozmowę wpatrzony w dal.

- O tą sprawę z Tamarą? - spytał Vincent obojętnie mimo, że serce zabiło mu mocniej.

- Tak, jeśli chcesz, wytłumaczę jej, że jedyną osobą odpowiedzialną za to wszystko jestem ja.

- Nie trzeba - wzruszył ramionami - Iris przestała mnie obchodzić.

- Widzę, że cię nie doceniłem - książkę spojrzął na niego z uśmiechem - Chyba

naprawdę pozbyłeś się uczuć, jestem z ciebie dumny.

Całą dalszą drogę przebyli w milczeniu. Vincent tłumił w sobie sprzeczne emocje. Z jednej strony dawała o sobie znać miłość, którą darzył Iris, z drugiej próbował nie dać się jej ogarnąć. To byłaby słabość, a na to nie mógł sobie pozwolić. Zaczynał wariować. Tak pewny swojego niewzruszonego podejścia do ludzkiego życia stracił cały spokój ducha dziś rano. Ta dziewczyna... Wciąż nie mógł sobie wybaczyć. Czuł się odpowiedzialny za jej śmierć, pragnął by to wszystko nigdy się nie zdarzyło. To był pierwszy raz od wielu lat gdy przestraszył się samego siebie, a dalej wszystko posypało się już lawiną. Uczucia wróciły pod wpływem tych wielkich, przerażonych, oskarżających go oczu. Jego wina, jego... Nie potrafił jasno powiedzieć dlaczego wciąż się tym przejmował, bo w gruncie rzeczy nie było mu żal dziewczyny. Więc czemu czuł się odpowiedzialny? Nie mogąc odpowiedzieć sobie na to pytanie postanowił zasnąć. Na swoje szczęście, nie zapamiętał snu.

Pod wzgórze dotarli wieczorem. Wokół niewielkiego pagórka zebrało się już mnóstwo kapłanów i czarownic w czarnych płaszczach i maskach odsłaniających jedynie oczy. Wzgórze majaczyło groźnie na tle nocnego nieba, a budynek niewielkiej kaplicy sterczał z jego środka niczym groteskowa narośl. Jego przysadziste rotundy i grube mury pokrywał zielonkawy, a w wieczornym świetle, brudno szary nalot mchu. W kaplicy nie było nic zachęcającego. Vincent wygramolił się z powozu i rozprostował nogi. Samael wysiadł za nim i odprawił woźnicę.

- Szkatuła i kielich są w powozie Iris. - mruknął Samael jakby do siebie. Zamilkł na moment jakby słuchając czegoś ze skupioną miną - To dobrze, będziemy w kontakcie. Widząc zdezorientowany wzrok Vincneta parsknął śmiechem:

- Rozmawiam z Tamarą, przygotowali barierę.

- Teraz rozumiem. - odparł mężczyzna spoglądając w górę. Miał nadzieję zobaczyć magiczną zaporę, jednak nie dostrzegł niczego.

- Wprowadź ich, my przygotujemy artefakty. Chyba nawet pozwolę Argonowi nieść szkatułę...

- A ofiara? - spytał Vincent rozglądając się po zebranych.

- Czeka na ciebie, moi strażnicy przywieźli go tu wczoraj. - odparł Samael. - Pójdę się przygotować, a ty zabaw czymś naszych gości.

Vincent zrezygnowany założył maskę i w towarzystwie strażników wspiął się na wzgórze. Mimo niepozornego wyglądu, nie było wcale takie niskie. Budynek kaplicy był z tej perspektywy jeszcze bardziej odpychający niż z daleka. Jeden ze strażników wyposażony ogromny, żeliwny klucz otworzył wrota i Vincnet wkroczył do środka z jednej strony zaciekawiony, z drugiej niepewny co go czeka. Wewnątrz, na kamiennym, surowym ołtarzu leżał dziesięcioletni chłopiec, a przy jego głowie paliły się trzy świece. Roztopiony wosk spływał na zimny blat zastygając na nim w fantazyjnych wzorach. Dziecko było związane mocnymi, żelaznymi łańcuchami, a

jego twarz pokrywały krwawe rany. Nie krzyczał, a jego nieobecny wzrok wskazywał na zażycie narkotyków. "Może to i lepiej" pomyślał Vincnet i omiół wzrokiem wnętrze. Niższe, boczne nawy pogrążone były co prawda w mroku i bił z nich chłód, lecz główną, której sklepienie ginęło w cieniu, oświetlono kilkoma pochodniami. Mimo to ogólnie rzecz biorąc było ciemno, zimno i ponuro. Lord dał znać strażnikowi by zaprosić zebranych do środka, a sam skierował się do przeciwległej ściany. Tłum zaczął napływać do wnętrza. Ludzie stłoczyli się w głównej nawie i przy wejściu. Cześć wcisnęła się w wąskie, ciemne nawy boczne ale nikt nie śmiał za bardzo zbliżyć się do lewie żywego dziesięciolatka. Vincent stanął przed kamiennym ołtarzem, do którego przykuty był chłopiec. Teraz widział go wyraźniej i mógł dostrzec, że strażnicy musieli nie być dla więźnia zbyt uprzejmi. Całą twarz miał we krwi, a ubranie potargane i brudne. Zlepione brunatnymi skrzepami włosy opadały mu na szerokie czoło, a pulchne palce to zaciskały się to rozluźniały w monotonnym transie. Gdy zrozumiał, że Vincent mu się przyglądał wydał z siebie cichy jęk i przewrócił oczami ukazując na moment same białka. Lord skrzywił się z niesmakiem. Znów z satysfakcją złapał się na braku współczucia, a jedynymi przepelniającymi go emocjami były zmęczenie i obrzydzenie. Westchnął i odwrócił się do zebranych: - Proszę o uwagę! - przyciszone głosy zamilkły całkowicie - To wielki dzień. Dziś obalimy tyranię królów i sami obejmujemy władzę. Nasza pani powstanie, a my będziemy mogli dokonać zemsty na tych, którzy nas zniewolili. - teatralnym gestem wskazał chłopca. - dziś przelejemy krew Melhiora!

Podniósł się niesamowity krzyk spotęgowany echem kaplicy. Wiwaty, groźby i złorzeczenia mieszały się w jeden bestialski wrzask domagający się ofiary. Ochrypli głos setki kapłanów i czarownic, wyniszczonych ludzkich cieni, wył niczym stado potępieńców. Lord skrzywił się, widząc w zebranych jedynie bezmyślny motłoch. Tłum rządnych krwi bestii czekających na dogodną okazję do ataku. Po chwili wszystko ucichło nagle, a ostania nuta ich ohydnych wrzasku wybrzmiała ledwie słyszalnym strachem. Tłum w pośpiechu rozstąpił się by zrobić miejsce przybyłym. Drzwi zostały otwarte i mrok świątyni przeszyło zimne, ostre światło księżycy, które pomknęło w kierunku głównego ołtarza i spoczęło na zakrwawionym obliczu chłopca. Vincent zmrużył oczy aby wyraźniej widzieć wchodzące postacie. Pierwsza do kaplicy wmaszerowała ubrana w czerń kobieta o kasztanowych włosach. Mimo czarnej maski Vincent bez problemu rozpoznała w niej Iris. Niosła na wysokości swojej twarzy wysadzany szlachetnymi kamieniami złoty kielich. Jej skupione spojrzenie spoczęło na naczyniu i kobieta nie chciała spuścić go z oczu jakby bała się, że kielich zniknie nagle i sama zostanie z niczym. Patrząc na nią teraz Vincent nie czuł już żadnej miłości. Zdał sobie sprawę, że naprawdę przestała być dla niego ważna. Za nią podążał chudy, wysoki mężczyzna o rudych włosach również w czarnej masce. To był Argon. Niósł w rękach srebrną szkatułę. Odnosił się do przedmiotu z jeszcze większą

czą niż Iris do kielicha. Widocznie Samael przystał w końcu na jego prośby i dopuścił mężczyznę do rytuału. Za tą dwójką szedł sam książę ubrany w szkarłatny płaszcz wykończony białym futrem wilka. Na jego skroni skrzył się platynowy diadem ozdobiony kryształami o barwie nieba. Kamienie idealnie pasowały do jego niebieskich tęczywek widocznych w otworach białej maski. Vincent uznał, że jego pan przypominał teraz upiora. Za tym korowodem drzwi zamknęła dwójka odzianych w płaszcze i maski strażników, aby odciąć tę chorą grupę fanatyków od świata i pogrążyć w dusznej ciemności.

- Witaj panie - Vincent pokłonił się przybyłemu Samaelowi, na co książę odpowiedział krzywym uśmiechem. Mężczyzna podeszedł do ołtarza na którym wciąż spoczywał chłopiec. Samael uśmiechnął się spostrzegłszy, że dziecko wciąż oddychało.

- Czas rozpocząć ceremonię. - jego zimny głos potoczył się upiornym echem po pomieszczeniu, na co zebrani zareagowali podnieconymi szeptami.

Książę dał znać Vincentowi, że już czas. Mężczyzna podeszedł do przykutego chłopca i poniósł leżący obok jego bezwładnego ciała elegancki sztylet. Uniósł przedmiot wysoko nad głowę.

- W imię Raveny, Najwyższej Czarownicy, Pani Wschodu, niechaj krew Melhiora pozostanie przeklęta!

Nie wahał się. Z impetem wbił sztylet w serce dziecka. Na jego twarz chlusnęła jasna krew, która wypływając z rany ściekała na ściany ołtarza, by utworzyć kałużę pod nogami zebranych. Tłum zawył z zachwytem gdy umazany szkarłatem Vincnet strząsnął krople krwi z noża do kielicha Iris. Ołtarz skąpany w czerwieni i włoki dziecka pozostawały teraz niezauważane. Po zebranych przeszedł pomruk ekscytacji. Argon z niekrytą satysfakcją obserwował reakcję mając poczucie, że brał udział w czymś niezwykle ważnym. Wpatrywał się w szkatułkę z jakimś dziwnym zachwytem. Samael wyszedł na środek nie zważając na to, że końcówka jego płaszcza nurza się we krwi barwiąc białe futro na czerwono.

- Dokonało się. - rzekł tryumfalnie ku uciesze zamaskowanej widowni - Iris, podaj mi kielich.

Dziewczyna podeszła do niego lekkim krokiem i wręczyła naczynie. Stała obok Vincenta po prawej stronie ołtarza. Tymczasem Argon ustawił szkatułkę w kałuży krwi i odsunął się na bezpieczną odległość. Samael z namaszczeniem przeciągał najważniejszy moment. Zebrani wstrzymali oddech, gdy przechylał kielich. Uwolnione z niego krople szkarłatu zabarwiły wieko artefaktu. Zebrani w całkowitej już ekstazie przepychali się by lepiej widzieć. Początkowo nic się jednak nie działo. Vincent spostrzegł, że Argon nerwowo trząsł się w miejscu. Z radości, czy też strachu nie mógł dłużej wytrzymać widoku niewzruszonej szkatuły. Po chwili rozległy się szepty zwątpienie, po nich głosy oburzenia. Vincnet spostrzegł w oczach dzikiego tłumu nieopanowany gniew. Serce zabiło mu mocniej ze strachu. Spojrzał na Samaela,

jednak ten wciąż spokojny z opanowaniem przyglądał się rosnącej fali frustracji. Nagle, gdy jeden z kapłanów chciał się odezwać i przerwać świętą ciszę kaplicy, szkatuła rozgorzała silnym, zielonym blaskiem. Zebrani wychylali się by lepiej widzieć co będzie się działo, a całe ich wzburzenie gdzieś się ulotniło. Nagle wieko odskoczyło w tył uwalniając potężny strumień zielonego światła, który pomknął do sufitu rozpraszając się na nim i malując w najdziwniejsze wzory. Szum który towarzyszył temu niezwykłemu wyładowaniu energii uderzył w uszy zebranych z niezwykłą siłą. Vincent i Argon cofnęli się pod wpływem tego huku. Kilka osób krzyknęło, a przerażone spojrzenia przenosiły się z ustawionego na ziemi przedmiotu, to na Samaela, to na zielony dym. Po chwili dźwięk ustał i kaplica wypełniła się dudniącą ciszą. Nikt nie śmiał nawet oddychać. Szkatuła zamknęła się z trzaskiem, a zielona energii zgromadziła pod sklepieniem w wielką kulę. Kilka osób cofnęło się przerażonych, cześć skamieniała na swoich miejscach. Wszystkich ogarnął niewysłowiony, pierwotny strach. Ku zdumieniu zebranych, na środek wyszła kobieta o kasztanowych włosach i w jakiejś dziwnej ekstazie patrzyła na zieloną masę.

- Iris, nie! - krzyknął Argon w momencie gdy energia z impetem spadła w dół wprost Nawego kuzynkę. Było za późno. Wydawało się, że plazma wgniotła Iris w posadzkę, która pękła w kilku miejscach przypominając stłuczoną szybę. Cześć ze zgromadzonych zdjęła swoje czarne maski i przyglądała się wszystkiemu z przerażeniem w oczach. Kapłanka zniknęła w zielonej energii, która powoli zaczęła pulsować upiornym światłem.

- Co się dzieje? - Argon nie wierzył własnym oczom.

- Wiem tylko, że zamiast Raveny, uwolniliśmy jakiegoś zielonego gluta - mruknął Vincent dobywając miecza. - Może być niewesoło.

- Zostaw - Samael położył dłoń na jego ramieniu - Wszystko jest dobrze, podziwiał. Vincent usłuchał, jednak nie do końca rozumiał co w tym wszystkim było do podziwiania. Tym czasem kula napęczniała i po chwili rozplynęła się w powietrzu ukazując stojącą ze spuszczone głową Iris.

- Wszystko w porządku? - Argon zbliżył się do dziewczyny - Nic ci nie jest? Kobieta powoli podniosła głowę. Nie przypominała już tamtej odzianej w czerń młodej kapłanki. Jej twarz była wyraźnie starsza, lecz wciąż bardzo piękna. Szare oczy rzucały groźne błyski, a włosy pociemniały od czubka do końcówek barwiąc się na intensywny odcień śliwek. Jej postać wydłużyła się i nabrała bardzo kobiecych kształtów. Usta uwydatniły się i przybrały kolor głębokiej czerwieni. Na wargach tańczył jej okrutny, pełen tryumfu uśmiech.

- Ravena - wyszeptał Samael z nieskrywaną satysfakcją. Kobieta powiodła wzrokiem po zebranych i rozprostowała kości. Obróciła głowę w kierunku księcia i uśmiechnęła się uwodzicielsko:

- Wiedziałam, że o mnie nie zapomnisz. - jej głos brzmiał jak syk węża, a oczy płonęły

szaleństwem.

- Nie mógłbym o tobie zapomnieć. - książę ucałował jej dłoń, a ona delikatnie ściągnęła jego białą maskę. Przesunęła wierzchem dłoni po jego gładkim policzku, po czym przysunęła się bliżej i namiętnie go pocałowała.

- Tęskniłam – szepnęła.

- Pani moja! - Argon upadł na kolana przed Raveną - Całe życie czekałem by cię ujrzeć! Jestem twym najwierniejszym sługą.

W odpowiedzi obdarzyła go ujmującym, jednak po części złowieszczym uśmiechem.

- Są moi? - zwróciła się do Samaela patrząc pożądliwie na tłum kapłanów i czarownic.

- To twoi wyznawcy - odparł książę - Z definicji są twoi.

- Cudownie.

Zanim ktokolwiek zdążył cokolwiek zrozumieć, Ravena rzuciła się w tłum. Jej ciało przybrało postać czarnego, ciężkiego jak smoła dymu. Na jego powierzchni malowały się niewyraźne rysy czarownicy. Zebrani w popłochu rzucili się na drzwi, jednak te pozostały zamknięte naглуcho. Ogarnęła ich panika. Zadeptywali się, przepychali i wywracali by odbić się od wrót i znów wpaść w kłębowisko ciał. Tymczasem kałuża krwi na podłodze powiększała się wzbogacona kolejnymi porcjami wyływającymi z poszarpanych ciał przerażonych ludzi. Wrzask ofiar, krzyki uciekających, wszystko to mieszało się ze słodkim, metalicznym zapachem zwracając Vincentowi w głowie.

- Moja pani - szeptał Argon z uwielbieniem podziwiając jej krwawe dzieło.

Samael z obojętną miną czekał, aż wszystko się zakończy. Gdy nie został już nikt prócz jakiejś przerażonej, oblepionej krwią kobiety Ravena przybrała na powrót swoją ludzką postać. Nachyliła się nad nią i uśmiechnęła:

- Nie jestem już głodna, ale szkoda byłoby zostawić taki smaczny kąsek.

Rzuciła się na szlochająca czarownicę, w locie znów przyjmując postać czarnej mazi. Pochłonęła kobietę po czym znów się materializowała. Przy wejściu piętrzył się stos ludzkich szczątków w zawieszynie kleistej krwi. Strzępy materiału trudno było odróżnić od kawałków mięsa, a do pozostałych docierał drażniący, mdły zapach zwłok.

- Wybaczcie mi ten pokaz - Ravena przybrała niewinny wyraz twarzy - Zgłodniałam przez tyle lat.

Samael miał coś odpowiedzieć gdy nagle skamieniał w miejscu.

- Nie mam kontaktu z Tamarą, idą po nas.

- Nie szkodzi, ich też załatwię. - mruknęła czarownica jakby podekscytowana wizja kolejnej masakry.

- Nie - ton Samaela nie znał sprzeciwu - Zbyt duże ryzyko, znikamy.

Wybiegli na zewnątrz i książę dał straży sygnał do odwrotu. Odziani w szmaragdowe szaty żołnierze uformowali się kilkunastoosobowe oddziały i ruszyli powrotem w kierunku Dartmoore. Stanęli po pas w trawie i zbili się w koło. Samael wyrecytował starożytną formułę, która brzmiała jak podmuch świszczącego wiatru. Teleportacja nie

była najbezpieczniejszym sposobem przemieszczania się, stąd rzadko jej używano, jednak w tej chwili nie mieli wyjścia. Noc przeszył jasny blask i cała czwórka zniknęła w jego świetle.

- Cholera! - zaklął Yeoshed, rosły dowódca celskich wojsk wpatrując się w smugę białego światła w oddali. - Uciekli.

Razem z kilkoma pozostałymi po walce z magami żołnierzami i czwórką młodych adeptów sztuki żywiołów ruszyli biegiem w stronę Nocnego Wzgórza. Po twarzach smagały ich bujne trawy, a nad ich głowami skrzyły się miliony gwiazd. Każdy dzierżył w ręce miecz szykując się do kolejnej walki. Jednak na miejscu nie zastali nikogo. Wiatr wył wśród pustkowia, a kaplica stała otwarta i cicha na wzgórzu.

- Idziemy to sprawdzić? - spytała czarnowłosa dziewczyna o inteligentnej twarzy.

- Tak, ale wy zostajecie tutaj. Nie wiemy, czy to nie jest pułapka.

- Ale..

- Żadnego ale Karin, jesteś Wybrańcem, nie mogę cię narażać.

Yeoshod i dwóch innych żołnierzy ostrożnie wspięli się pod bramę kaplicy. Otworzyli wrota i po kolei weszli do mrocznego wnętrza. Pałace się wcześniej pochodnie zgasty pogrążając kaplicę w całkowitej ciemności. Mieli wrażenie stąpania po czymś lepkiem i gęstym.

- Drak, światło.

Mężczyzna szepnął jakieś elfickie słowo i naraz jego dłoń zapłonęła żywym ogniem. Kaplicę zalało ciepłe światło, którego promienie spoczęły na posadzce odsłaniając pozostałość masakry. Cała trójka z obrzydzeniem spostrzegła, że stali po kostki we krwi.

- Boże... Kim są ci ludzie?

- Kapłani Raveny i czarownice. - mruknął Yeoshod trącając butem jakąś rękę.

- Zabili swoich? - zdziwił się Drak i zaklął dostrzegłszy na ołtarzu zwłoki dziesięciolatka - Skurwysyny.

Nikt już niczego nie dodał. Przytłoczeni okrucieństwem tego, co właśnie zobaczyli ruszyli, by upewnić się, że wszyscy nie żyli. Nie znalazłszy w kaplicy żywego ducha zwlekli się ze wzgórza do swoich towarzyszy. Ich wzrok mówił sam za siebie.

- Zaczyna się wojna. - skwitował pusto Yeoshod.

Od tamtych wydarzeń minęło kilka miesięcy, a teraz miał się odbyć najważniejszy moment wszechczasów - wymarsz okeanijskich wojsk. Po oficjalnej ceremonii na placu zamkowym i pokazowym przemarszu przez całe miasto armia składająca się z najemników i najpaskudniejszych stworów jakie kiedykolwiek nosiła ziemia, zmierzała na zachód siać śmierć i strach wśród Celsjan. Vincent wspinał się po kamiennych stopniach na sam szczyt zamkowej wieży. Gdy wyczerpany dotarł na miejsce jego

oczom ukazał się niezwykle widok. Tysiące żołnierzy wymaszerowujących przez główną bramę i podążających w idealnym korowodzie w głąb równiny. Ich jednostajny marsz wprawiał patrzącego w zdumienie i przerażenie naraz. Konni, których prowadził Argon mknęli przez łąkę to wyłaniając się, to znów ginąc w szarej mgle. Potężne obrzyny z każdym krokiem podrywały z ziemi tumany piachu. Gobliny o grubej, pomarszczonej skórze z tępych wyrazem barbarzyńskich twarzy wyśpiewywały wojenne pieśni brzmiące raczej jak ochrypty warkot. Nad całym tym motłochem mknęły wielkie niczym domy, pokryte szmaragdowymi łuskami smoki. Ich olbrzymie ciała rzucały cienie tak wielkie, że zdawać by się mogło, że nadeszła noc. To wszystko, cały obraz wojska przesycony był upiornym nastrojem destrukcji i pustki. Bezmyślna plątania ciał w wyścigu do nic nieznaczącej walki o złudzenia.

Bezдушna masa wyprutych z wyższych uczuć żołnierzy. Bez celu szli na stracenie niczym marionetki w rękach dowódców nawet nie próbując zmienić swojego losu.

- Niesamowite, prawda? - Vincent usłyszał za sobą spokojny głos Samaela.

- Nie wierzę, że tego dokonaliśmy. - odparł.

- Niczego nie dokonaliśmy. - odparł księżę posępnie, nostalgicznie obserwując swoich żołnierzy.

- Ale teraz wygramy już na pewno. - zachnął się lord - Taka armia...

- Armia najemników i bezmózgich troli. - mruknął Samael. - jeszcze nie rozumiałeś?

- Czego? - Vincenta niepokoił ten dekadenski ton księcia.

Obaj spostrzagli Ravenę stojącą w długiej, szkarłatnej sukni na jednym z ogromnych, pałacowych balkonów.

- Dziś odzyskamy naszą wolność! - krzyczała, a jej upiorny głos przetaczał się dudniącym echem po całej okolicy - Celsja zostanie skompana we krwi swoich dzieci! Naprzód, nieście śmierć! - śmiech czarownicy wybuchł jakimś obłąkańczym rechem nad Dartmoore.

- Straciliśmy człowieczeństwo Vincencie - księżę poprawił czarne włosy i oparł się plecami o balustradę.

Vincent przypomniał sobie wydarzenia sprzed trzech miesięcy. Służąca, dziesięcioletka, a później wielu innych niewinnych ludzi, których zabiła Ravena. Jego początkowy strach i późniejsza obojętność. Z każdym odebraniem życia czuł coraz mniej, aż stracił resztkę sumienia i aż do bólu upodobił się do swego pana. Czy to było dobre? Czy tego właśnie pragnął?

- Jak można wygrać wojnę, nie mogąc wygrać walki o własną duszę? - myślał na głos Samael. - Nie wygramy Vincencie, na końcu zawsze przegramy choćby nasza armia była nieśmiertelną. Dziś to rozumiałem.

Zanim Vincent zdążył się z nim nie zgodzić, księżę wspiął się na balustradę i spojrzał w dół z uśmiechem:

- Gdybym mógł zginąć... - westchnął - Nie wahałbym się.

- Panie... ale... Dlaczego? - lord złapał go za skrawek płaszcza. - Przecież wygrywamy! Wygraliśmy walkę o swoje sumienia. Nikt nie może nam teraz nakazać czuć się winnymi. Jesteśmy wolni!

Samael spojrzał na rzucającą przekleństwa Ravenę.

- Jesteśmy wolni? - spytał - Jeśli ta pusta beznadzieja jest wolnością, nie chcę jej. Co my właściwie robimy?

- Przecież sam mówiłeś, że musimy wyzbyć się uczuć. Iris nie słuchała i zginęła.

- Właśnie. - zamyślił się. - To Iris wygrała - powiedział i z tymi słowami rzucił się w przepaść.